

Polityka, jako medycyna w większej skali

James Gilligan, MD,

Why Some Politicians Are More Dangerous Than Others

Polity Press, 2011

MARCIN KOTRAS
UNIwersytet Łódzki

recenzja książki

James Gilligan jest amerykańskim psychiatrą, znanym z cyklu książek poświęconych przemocy i funkcjonowaniu systemu penitencjarnego. Jego ostatnią książkę „Why Some Politicians Are More Dangerous Than Others” można uznać za próbę podsumowania jego dotychczasowych rozważań i jednocześnie za istotny głos dotyczący charakteru polityki prowadzonej przez dwa największe ugrupowania w Stanach Zjednoczonych. Choć praca ta wydana została w roku 2011 warto jednak wrócić do niej z kilku powodów. Pierwszy to listopadowe wybory w Stanach Zjednoczonych, podczas których można było się przekonać o różnicach między kandydatami dwóch największych obozów politycznych. Drugi powód to prezentacja pewnych uniwersalnych spostrzeżeń w tej publikacji, odnoszących się do kwestii zróżnicowania społecznego. Wreszcie trzeci powód wiąże się z pytaniem w jaki sposób polaryzacja systemu partyjnego wpływa na środowisko etyczne współczesnego społeczeństwa amerykańskiego?

Na początku krótka uwaga. Zanim bowiem zajrzyjmy do środka, uwagę czytelnika zwróci dość jednoznaczna okładka

książki. W centralnym jej miejscu na białym tle widzimy niebieskiego słonia, czyli symbol Partii Republikańskiej, w którego wpisany jest czerwony rysunek trupiej czaszki. Nie trudno domyśleć się więc, polityków której partii Autor uważa za tych bardziej niebezpiecznych od innych.

Prezentowana publikacja nie powinna być jednak odbierana jako zaangażowany, rozbudowany polityczny esej, wyrażający niechęć autora to jednego z mainstreamowych ugrupowań na amerykańskiej scenie politycznej. Przeciwnie, odwołując się do rozległych i szczegółowych opracowań statystycznych, własnej praktyki lekarskiej i doświadczenia dyrektora ds. zdrowia psychicznego w systemie więziennictwa stanu Massachusetts, Gilligan stawia wiele ważnych pytań udzielając jednocześnie przekonujących odpowiedzi. Jedną z inspiracji do napisania tej książki były prace Rudolpha Virchowa (jednego z twórców patologii komórkowej). Gilligan w zakończeniu swej książki przywołuje jego pracę dotyczącą epidemii tyfusu na Górnym Śląsku. Inspirujące okazały się zwłaszcza uwagi, mówiące o tym, że przeciwdziałanie epidemii nie może opierać się na jednostkowych

działaniach i drobnych zmianach w gospodarstwach domowych, ale konieczne jest działanie systemowe, przekształcające środowisko społeczno-ekonomiczne. Istota tego zdania staje się dla Gilligana podsumowaniem jego rozważań, które dotyczą tym razem diagnozy politycznej.

Lektura tej pozycji jest zajmująca. Przede wszystkim ze względu na pomysł i koncepcję, na której się opiera. Ponadto uwagę przykuwa klarowny język Autora oraz odwaga w formułowaniu wniosków. Podstawą do rozważań stało się zainteresowanie Gilligana wskaźnikami zabójstw i samobójstw na terenie USA. Jego uwagę zwróciły procesy nasilania się tych zjawisk w określonych okresach w taki sposób, że ich wzrosty i spadki zależały od tego, reprezentant jakiej partii piastował urząd prezydenta USA. Ponadto wartości tych wskaźników rosną i opadają w tym samym czasie, zaś skala ich wahań jest znacząca. Obserwując te zmiany połączył je z procesem przejmowania władzy w Białym Domu przez prezydentów wywodzących się z Partii Republikańskiej i Demokratycznej, dwóch opozycyjnych obozów partyjnych.

Zaczynając od prezentacji danych przygotowuje czytelnika do swoich tez i końcowych wniosków. Aby wychwycić ujawniające się jego zdaniem prawidłowości, posłużył się wskaźnikiem TLV, (ang. *Total Lethal Violence*), który obejmuje zarówno liczbę zabójstw, jak i samobójstw. Już pierwsze zestawienia przyniosły interesujące wyniki. Analizując okres od roku 1900 do 2007 Gilligan zauważył, że w trakcie 48 lat łącznie kiedy prezydenci Demokraci sprawowali władzę skumulowany TLV spadł o 18,3%. Zupełnie inaczej natomiast sytuacja wygląda jeśli weźmiemy pod uwagę 59 lat sprawowania władzy przez Republikanów, wtedy bowiem skumulowany TLV wzrósł o 19,9%.

Dla przeprowadzenia swoich analiz Autor posługuje się głównie źródłami niewywołanymi, takimi jak statystyki policyjne i służby zdrowia oraz inne źródła historyczne. Pozwala mu to na określenie poziomu epidemicznego wskaźnika śmierci w wyniku przemocy (składają się na niego zabójstwa i samobójstwa), który wynosi na poziomie 19,4 na 100 tysięcy mieszkańców. Wnioski, po raz kolejny nie są pozytywne dla Republikanów, gdyż w trakcie rządów prezydenta z tej partii odnotowano trzy okresy epidemiczne, podczas gdy w trakcie rządów Demokratów było dokładnie odwrotnie, czyli trzy okresy nieepidemiczne. Również rozbijając wskaźniki na te dotyczące zabójstw i samobójstw, w jednym i drugim przypadku prawidłowość ma taki sam charakter, wzrost w trakcie rządów prezydenta Republikanina i spadek w przypadku Demokracji.

Takie wyniki, zdaniem Autora, nie mogą być dziełem przypadku. Dlatego stawia on tezę, że rządy republikańskiego prezydenta działają jak czynnik ryzyka dla przemocy kończącej się śmiercią, zaś rządy demokratycznego odpowiednika są jak czynnik ochronny. Skumulowane wskaźniki zarówno samobójstw, jak i zabójstw potwierdzają tę tezę – większe „dawki” republikańskich rządów oznaczają wzrost określonych „reakcji” rozumianych tu jako wzrost poziomów „śmiertelnych” wskaźników. Różnica między tymi ugrupowaniami mierzona w ciągu 100 lat wskaźnikami na 100 tys. mieszkańców wynosi 30, co sugeruje istnienie istotnego związku między „mieszkańcem” Białego Domu a poziomem odnotowywanej przemocy. Co więcej związek ten nie ma charakteru przypadkowego i incydentalnego. Potwierdza to analizowanie tego zjawiska w odniesieniu do różnych przedziałów czasowych. Niemniej im krótszy okres jest brany pod

uwagę tym mniejszy jest skumulowany wskaźnik śmierci. Nie musi to oznaczać, że ten związek pokazuje wyraźnie uwarunkowanie, czy zależność przyczynową między tymi zmiennymi. Ale nie jest też tak, że nie można ustalić krzywej „dawka-efekt” (*dose-response curve*) dla tych zmiennych. Poza tym kierunek wspomnianej krzywej jest stały, zaś pojawiające się wyjątki mają zbyt słabą siłę oddziaływania, aby zmieniać wartości wskaźników skumulowanych.

Kluczowe jest to, że kierunek zmian wartości skumulowanych dotyczących wskaźnika śmierci w wyniku przemocy przy porównaniu okresów rządów dwóch partii jest przeciwny. Wartość wskaźnika rośnie wyłącznie za rządów Republikanów a spada wyłącznie za rządów Demokratów.

Dziwić może fakt, dlaczego nie zwrócono uwagi wcześniej na owe prawidłowości. Było tak być może dlatego, że średnie wskaźniki podczas rządów obu partii były prawie identyczne. Niemniej jednak, należy pamiętać, że średnia może być więc taka sama raz w wyniku spadku wskaźnika z wysokiego poziomu, zaś w drugim przypadku w wyniku jego wzrostu. Ponadto kierunek zmian wartości skumulowanych jest dokładnie przeciwny w zależności od tego, kto był u władzy, zaś wielkości te za rządów poszczególnych ugrupowań wzajemnie się kompensowały. Opisywany problem może być szczególnie istotny, jeśli weźmie się pod uwagę polaryzację amerykańskiego systemu partyjnego, gdzie rządzą często naprzemiennie dwa duże ugrupowania, gdzie jednak tylko za rządów jednego z nich opisywane wskaźniki mierzą we właściwym, z punktu widzenia społeczeństwa, kierunku.

W dalszej części książki Autor poszukuje przyczyn wzrostu badanych wskaźników. Twierdzi on, że mimo iż za dramatami takimi jak samobójstwa, czy zabójstwa

stoją problemy „zwykłych ludzi” to geneza owych zjawisk musi mieć charakter systemowy.

Analizy Gilligana wskazują, że wskaźniki samobójstw i przemocy były skorelowane ze wskaźnikami bezrobocia. Tego rodzaju potwierdzeń dostarcza zarówno literatura przedmiotu, jak i statystyki, z których autor korzysta. Tym można również tłumaczyć wzrost zachowań agresywnych wśród niektórych grup etnicznych, np. wśród czarnych mieszkańców Ameryki dotkniętych w większym stopniu utratą pracy. Podobnie wygląda ta relacja (chodzi o zabójstwa i przemoc) jeśli pod uwagę weźmie się czynniki związane z biedą i głębokim zróżnicowaniem dochodów. Wzrosty nierówności ekonomicznych występowały bowiem ze wzrostem zabójstw. Relacje te potwierdzały badania międzynarodowe w 39 krajach, gdzie stwierdzono korelację między wzrostem nierówności i morderstwami oraz negatywny charakter korelacji tych wskaźników w odniesieniu do GDP (ang. *Gross Demographic Product*). Początkiem negatywnych zmian jest rosnąca nierówność, zaś jej spadek i wzrost wskaźnika GDP ten stosunek odwraca. Upraszczając można więc stwierdzić, że czynnikami wpływającymi na wahania wskaźnika zabójstw są bieda i zamożność (posiadanie domu, oszczędności i zabezpieczeń finansowych). Co więcej wysokie zróżnicowanie bogactwa współwystępowało z epidemicznym poziomem wskaźników zabójstw (np. w latach 80. w trakcie prezydentury Reagana i Busha). Odwrotnie w latach 1942–1968 (od wprowadzenia programu *New Deal* do prezydentury Nixona), gdzie okres zmniejszania nierówności ekonomicznych współwystępował z niskim, wyraźnie nieepidemicznym poziomem wskaźników zabójstw.

Dalej Autor przechodzi do kluczowych dla tytułu książki rozważań, czyli związku między partią u władzy i prowadzonej przez nią polityką a obserwowanymi negatywnymi społecznymi zjawiskami. Tytuł rozdziału dotyczącego tych kwestii tytułuje przewrotnie: *Nic nie sprzyja sukcesowi tak jak porażka*. Sens tych słów wyjaśnia na podstawie prowadzonych przez siebie rozważań.

Rozpoczyna od wskazania na tradycyjne socjopolityczne podziały obserwowane w obrębie systemu partyjnego. W odniesieniu do ugrupowań amerykańskich stosuje więc podział na partie związane z kapitałem i pracodawcami (u Gilligana są to Republikanie) i partie związane z pracą i pracobiorcami (w tym przypadku Demokraci). Swe rozważania autor opiera o hipotezę, że pierwszy typ partii, paradoksalnie, może być nawet zainteresowany zwiększaniem bezrobocia i utrzymywaniem nierówności społecznych, a wiąże się to z jej wyborczą bazą, którą stanowią ludzie dobrze sytuowani (przywołany zostaje tu dychotomiczny podział społeczeństwa na *the haves* i *the haves more*). Również i w tym przypadku zestawienie ze sobą wskaźników bezrobocia z tym kto zasiada w Białym Domu pokazuje dysfunkcjonalność rządów Republikanów. W trakcie sprawowania władzy przez prezydentów tej partii bezrobocie wzrosło łącznie o 27,3%, kiedy zaś rządzili Demokraci spadło ono o 26,5% (dane Narodowego Biura Badań Gospodarki dotyczące lat 1900–2008). Wraz ze wzrostem tych wskaźników rosły te odnoszące się do liczby samobójstw i stosowania przemocy ze skutkiem śmiertelnym.

Przyczyn tych różnic nie należy upatrywać jak twierdzi autor w wahaniach cyklu koniunkturalnego, katastrofach naturalnych, czy po prostu szczęściu, ale w różnicach w polityce gospodarczej prowadzonej przez dwa ugrupowania. Przede wszystkim

zwraca uwagę na projekty i działania wdrażane przez Republikanów, które sprzyjają zamożnej części społeczeństwa i powiększają w konsekwencji dysproporcje w dochodach. Etykieta partyjna prezydenta ma bardzo silny wpływ na podejmowane przez niego działania. Jeśli jednak jest on w stanie odejść od kierunku charakterystycznego dla swojego ugrupowania efekty jego przedsięwzięć mogą okazać się zaskakujące. Przykład Dwighta Eisenhowera wskazuje, że stosowanie przez niego „metod Demokratów” przyniosło oczekiwane społecznie efekty w poprawie bezpieczeństwa. Skupił się on bowiem na rozszerzeniu zakresu polityki socjalnej, wprowadził wysokie podatki dla najbogatszych, ograniczył dyskryminację rasową, udzielił wsparcia dla programów tworzenia miejsc pracy i popularyzacji edukacji, podniósł wreszcie finansowanie polityki zdrowotnej. Odwrotnie rzecz miała się w przypadku Jimiego Cartera, który jako Demokrat działał według „metod Republikanów”.

W świetle powyższych ustaleń niezwykle ciekawa wydaje się odpowiedź na pytanie, dlaczego w takim razie Republikanie wygrywają wybory. Odpowiedź jakiej udziela Autor jest jednocześnie politycznym manifestem i prezentacją ciekawej koncepcji dotyczącej podziałów socjopolitycznych w obrębie amerykańskiego społeczeństwa. W swych rozważaniach odnosi się do utrzymujących się nierówności społecznych oraz do problemu retoryki politycznej akcentującej społeczne podziały.

Tezy Autora korespondują z postulatami charakterystycznymi dla ruchu „Occupy Wall Street”. Twierdzi on, że w USA kluczem do zrozumienia sytuacji politycznej oraz reguł wyborczej gry jest dostrzeżenie dysfunkcjonalnej dychotomii społecznej, gdzie władzę i zasoby kontroluje 1% społeczeństwa, zaś w sytuacji upośledzonej jest

pozostałe 99% obywateli. Jego zdaniem ów 1% jest w stanie nakłonić pozostałych obywateli do głosowania na republikanów wzniesając spór pomiędzy klasą biednych i prawie biednych (*near poor*). Uważa on, że najłatwiej antagonizować te klasy, czy grupy społeczne, które bezpośrednio rywalizują i zagrażają sobie w wyścigu o uprzywilejowane pozycje społeczne. Aby zilustrować to zjawisko przypomina o tzw. *Bourbon Strategy* (określenie wprowadzone przez prezydenta Lyndona Johnsona). Strategia ta polegała na tym, że w interesie bogatych mieszkańców Południa (tzw. Burbonów) było utrzymywanie dyskryminacji rasowej, gdyż wtedy biedni biali mieli jeszcze biedniejszą grupą – biednych czarnych, nad którą „górowali”, co w efekcie zmniejszało ich zazdrość i resentymenty w stosunku do bogatych białych. Podobnemu celowi, w historii USA, służyć miała restrykcyjna polityka penitencjarna wobec czarnych, którzy np. byli częściej skazywani za podobne przestępstwa niż biali. Wiązało się to również zwykle z ograniczaniem praw obywatelskich czarnych, uważanych za część bazy wyborczej Demokratów.

Autor sugeruje, że prowadzona w ten sposób przez Republikanów polityka, w sposób świadomy bądź nie, przyczyniała się do generowania efektów sprzyjających ich wynikowi wyborczemu. Wzrost przestępstw popełnianych przez najbiedniejszych powodował wzrost obaw wśród klasy średniej i odwrócenie uwagi od przyczyn tego stanu rzeczy odnoszących się do narastających nierówności. Co więcej ofiarami przestępstw w większości również byli i są ludzie biedni.

Kluczem do sukcesu Republikanów jest więc prowadzona polityka opierająca się na konflikcie interesów. Po pierwsze jest to konflikt ekonomiczny na linii bogaci

i biedni. Powoduje to stopniowe odsuwanie się od siebie tych światów. Widać to chociażby w skali wydatków jakie bogaci przeznaczają na prywatną ochronę. Są one większe niż środki wydawane przez rząd na działania związane z bezpieczeństwem pozostałych grup. Drugi konflikt jest polityczny i dotyczy tworzenia podziałów społecznych związanych ze strachem przed przemocą. Niestosująca przemoc większość obawia się stosującej przemoc mniejszości. Dotyczy to zarówno relacji między klasą średnią a biednymi, jak i podziałów wewnątrz biednych. To zdaniem autora przykład realizacji strategii „dziel i rządź”. Powoduje to, że wyborcy z klasy średniej są mniej skłonni popierać tych działających na rzecz biednych. Podobnie jednak zachowują się też biedni, którzy mniej skłonni są udzielać poparcia tym, którzy opowiadają się za bardziej liberalną i permisywną polityką w stosunku do przestępców. Biedni wciąż wierzą w podtrzymywany przez Republikanów mit, że surowa kara działa prewencyjnie. Konkludując autor stwierdza, że prowadzenie przez polityków republikańskich polityki wzmacniającej ekonomiczne naciski na społeczeństwo (zwłaszcza na grupy najbiedniejsze) wpływa niekorzystnie na liczbę samobójstw i skalę przemocy, co w konsekwencji przybliży ich do zwycięstwa, bo kieruje uwagę obywateli na (pozorną) konieczność restrykcyjnych działań państwa.

Republikanom udało się również narzucić społeczeństwu określony typ politycznej retoryki. Autor porównuje ją do Orwellowskiej „mowy podwójnej” (*double speak*), która ma czynić prawdę mniej nieprzyjemną. Republikanom udało się wprowadzić do dyskursu polityki takie określenia jak: „wojna z przestępczością” (*the war on crime*), polityka prawa i porządku (*law and order policy*), co prezentować

ma tę partię jako nieustępliwą i twardą w walce z przestępcami. Innym zaś narzucano etykietę uległości i miękkości wobec przestępców spychając ich do roli „liberalnych mięczaków”. Mimo więc, że wielu polityków i obywateli rzeczywiście opowiada się za zmniejszeniem skali przemocy, to popiera te działania i programy, które faktycznie podnoszą jej poziom. Gilligan, jako przykład podaje dyskusję toczącą się wokół kwestii posiadania i zażywania narkotyków, która zamiast koncentrować się na problemach zdrowia publicznego i problemu ich dystrybucji została zdominowana przez coraz dalej idące postulaty penalizacji użytkowników tych substancji. Autor odwołuje się również do własnych doświadczeń, związanych z badaniami jakie prowadził wśród osadzonych w stanowych więzieniach. Otrzymane przez niego wyniki wskazywały, że najlepszą praktyką zapobiegającą ponownemu wkroczeniu na drogę przestępczą jest ukończenie przez więźnia college’u w trakcie jego pobytu w zakładzie. Tam, gdzie wprowadzano tego typu programy efekty potwierdzały się właściwie w 100 procentach. Niemniej jednak tego rodzaju polityka spotkała się ze sprzeciwem części republikańskich gubernatorów, którzy nie chcieli finansować tego typu działań twierdząc, że skoro „zwykłych ludzi” nie stać na college to trudno myśleć o finansowaniu nauki dla więźniów. Inne badania, które przywołuje Autor, pokazujące odwrotny do zakładanego efekt działań, to osadzanie w więzieniach małych dzieci i orzekanie względem nich surowych kar. Wreszcie zwraca uwagę na problem powracający w politycznych sporach w USA, jakim jest dostępność do broni (przywołane tu zostały dane pokazujące trzykrotny wzrost przestępstw z użyciem broni wśród młodych przestępców w latach 1984–1994,

kiedy zliberalizowano przepisy dotyczące jej posiadania).

Kolejna część książki dotyczy kwestii związanych z dwoma typami etyki, które poprzez wypełniające je treści w sposób widoczny wpływają na zjawisko stosowania przemocy w społeczeństwie. Autor systemy te określa jako: etyka wstydu (*shame ethics*) i etyka winy (*guilt ethics*). Jako psychiatra, wstyd opisuje jako uczucie charakteryzujące się brakiem emocji dumy i szacunku dla samego siebie. W trakcie rozmów autora z osadzonymi, wielokrotnie pojawiał się wątek, w którym więzień tłumaczył swój atak na inną osobę tym, że jego przeciwnik (rywal) nie szanował go. Akt zbrodni stawał się więc swoistym przeniesieniem wstydu na ofiarę. Stało się to tak częstym tłumaczeniem, że więźniowie postugiwali się w rozmowie idiomatycznym skrótem: *He/She dis’ed me*, co jest skrótem od *He/She disrespected me*, czyli: On/Ona mnie nie szanował/a. To samo może odnosić się do samobójstwa, którego dokonuje się w wyniku uniknięcia hańby i wstydu, eliminując tym samym uczucie, którego nie można już znieść. Poczucie winy (*guilt*) każe natomiast traktować przemoc i samobójstwo jako odpowiedź na naciski i presję społeczno-ekonomiczną. W etyce wstydu złem jest więc sam wstyd, hańba, dyshonor, brak szacunku. Dobro zaś to duma i honor. W etyce winy złem jest wina lub grzech, zaś dobro to niewinność. Widać więc jak to samo uczucie może być różnie w zależności od tego, do której z etyk się odwołujemy. Dla przykładu w chrześcijaństwie duma jest najgorszym złem spośród siedmiu grzechów głównych, podczas gdy w etyce wstydu jest najwyższym dobrem. Etyka wstydu wspiera system hierarchiczny, gdzie tylko niektórzy doświadczają dumy i honoru, a inni wstydu i niższości (*inferiority*). Etyka winy wspiera egalitaryzm i stara

się eliminować dumę i upokorzenie. Osoba kierowana wstydem (*shame driven person*) poszukuje rewanżu, zwłaszcza na tych, którzy wyrządzili mu krzywdę i obrazili jej honor. Kierujący się winą (*guilt driven person*) zakłada, że wszyscy jesteśmy grzesznikami, więc potrzebujemy przebaczenia, które osiągać niekiedy można na drodze upokorzenia i niewinności. W etyce wstydu system społeczno-ekonomiczny to droga do wzmocnienia dumy, a w etyce winy wyrównywania nierówności. Porównanie tych dwóch systemów może przypominać wprowadzone przez Nietzschego rozróżnienie na moralność pana i niewolnika (*master and slave morality*). Działanie w oparciu o etykę wstydu dopuszcza zabijanie w obronie honoru i godności, możliwa jest więc wojna, kara śmierci. W etyce winy „nie zabijaj” jest jednym z głównych nakazów i powinniśmy go przestrzegać nawet jeśli oskarżą nas o tchórzostwo i „bycie mięczakiem”.

Po tych rozważaniach Autor stawia tezę, że „wstyd” (*shame*) stał się jednym z głównych motywów napędzających polityczne prawo skrzydło, zaś „wina” (*guilt*) lewe. Opierające się o etykę wstydu rządy mogą być określane jako timokracja, czyli rządy opierające się o honor, co zwykle podkreślane jest siłą militarną. W innym wymiarze rządy takie można również określać mianem plutokracji, czyli rządy najbogatszych. Ponieważ siła etyki wstydu przewyższa tę opierającą się na winie Gilligan stwierdza, że mamy współcześnie do czynienia z kulturą polityczną zdominowaną przez wstyd i koncentrującą się na kategoriach dobrobytu i władzy. Mowa tu o dominacji jednego typu etyki, ponieważ nie można mówić o typach czystych występujących w ramach określonej kultury politycznej. Gilligan stawia w tym miejscu kolejne pytanie (retoryczne?), czy Amerykanie chcą i potrafią przekształcić ową kulturę w taki sposób,

a w mniejszym stopniu obecna w niej była przemoc, skłonność do jej stosowania.

Drogą do przekształcenia kultury politycznej, zdaniem Gilligana, po raz kolejny okazuje się aktywna polityka przeciwdziałająca nierównościom społecznym i towarzyszącym im negatywnym zjawiskom, np. bezrobociu. Tym bowiem, co decyduje o poczuciu wartości i samooceny jednostki w dzisiejszym świecie jest praca. Za bezwartościowych czy wręcz niepotrzebnych uważa się tych, którzy nie pracują. Ta negatywna ocena przenoszona jest z jednostek na ich rodziny, a niekiedy na całe grupy społeczne (tzw. efekt fali – *ripple effect*). I nie ważne jest, czy towarzyszy temu refleksja dlaczego te osoby są bez pracy lub ją utraciły. Dla wydania zwykle negatywnego w stosunku do tych ludzi osądu wystarcza fakt, że ktoś pracy nie ma. Autor przywołuje również przykłady swoich rozmów z pacjentami, którzy wielokrotnie w nich podkreślali, że jakkolwiek, nawet nisko płatna i nieprestżowa praca (*low-job*) pozwala im wyzbyć się poczucia wstydu. Sytuacja ta często dotyczy również seniorów, którzy z powodu zaawansowanego wieku zwyczajnie wypadają z rynku pracy. Aby można było to zmienić przekształcić należy nie tylko mentalność polityków, ale także zrozumieć to musi część społeczeństwa. Nie jest to zadanie łatwe, zwłaszcza biorąc pod uwagę istniejące polityczne i kulturowe podziały istniejące w USA, które oddaje w pewnym sensie podział na Czerwone Stany (Red States), gdzie wygrywają Republikanie i Niebieskie Stany (Blue States), gdzie głosy zbierają Demokraci. W Czerwonych Stanach rejestrowanych jest więcej aktów przemocy i samobójstw, obywatele częściej opowiadają się za posiadaniem broni i wzmocnieniem siły militarnej państwa (skuteczna walka z terroryzmem), zaś wśród „codziennych”

wartości wymieniają te związane z przedsiębiorczością i społecznym konserwatyzmem. Ponadto są również zwolennikami kary śmierci i stosowania surowych kar wobec przestępców. Inaczej wygląda to w Stanach Niebieskich. Na 14 stanów, w których istnieje zakaz stosowania kary śmierci 10 to Niebieskie. Tam mieszkańcy są ogólnie rzecz biorąc bardziej liberalni, wierzą w efektywność dyplomacji, częściej opowiadają się za polityką wyrównywania nierówności społecznych. Autor tłumaczy to po części podłożem kulturowym tych miejsc. Mieszkańcy Czerwonych Stanów, a więc Starego Południa i Dzikiego Zachodu, są jego zdaniem bardziej wyczuleni na wstyd i obronę swojego honoru. To tam odnaleźć można przykłady linczy, tam dłużej utrzymywały się dyskryminacja i prześladowania na tle rasowym. Niezwykle silna rola kultury wstydu wywindowała na piedestał specyficzną kulturową etykietę akcentującą kwestię szacunku i honoru. Sprzyjała ona pojawianiu się w większej liczbie osobowości autorytarnej, co powiązać można nie tylko z tolerowaniem, ale i akceptacją nierówności społecznych i stosowaniem sankcji z użyciem siły przez instytucje państwa. To starsi, bogatsi, biali mężczyźni zapewnili zwycięstwo Republikanom w roku 1968. W obrazie amerykańskiej kultury politycznej Gilligan dostrzega więc dwa jej przeciwstawne obozy. Z jednej strony są to zwolennicy kultury autorytarnej, z drugiej egalitarnej. Ta pierwsza charakterystyczna jest dla prawego skrzydła sceny politycznej. Autor przywołuje badania, w których sprawdzano akceptację dla wartości składających się na Prawoskrzydłowy Autorytaryzm (tzw. wskaźnik RWA – *Right-Wing Authoritarianism*). Główne trzy grupy zmiennych składające się na ten wskaźnik to: autorytarne uległość (najczęściej względem władzy), autorytarne agresja

(względem dewiantów, obcych i osób przeciwstawiających się zastanemu ładu), konwencjonalność (przestrzeganie norm ustanowionych przez autorytety i wiara w to, że inni powinni je zaakceptować). Wyniki te pokazują, że wyborcy Republikanów plasują się powyżej średnich wartości, zaś Demokratów poniżej. Co najciekawsze jednak, ci wyborcy Demokratów, którzy plasowali się w wynikach powyżej średniej mieszkają w Czerwonych Stanach. Autorowi nie chodzi o to, aby wzmocnić, czy petryfikować podział na „dobrych” i „złych” obywateli. Zależy mu na ukazaniu odmiennych kulturowych podłoży, które mogą decydować o zachowaniu i decyzjach wyborczych obywateli. Przekształcenie kultury autorytarnej w egalitarną wymagałoby w jego opinii rozbudowanej polityki edukacyjnej (przywołuje jeszcze raz przykład edukacji więziennej), przez co obywatelom dostarczono by właściwie środki i narzędzia zmieniające ich położenie społeczne, a także, co może być kluczowe, wzmocniające ich szacunek dla samych siebie.

Zastanawiając się nad tym, jak należałoby zmienić istniejącą sytuację, Autor rekapitułuje swe rozważania i orzeka zgodnie z regułami sylogizmu o wyraźnym związku między rządami republikanów a wzrostem wskaźników dotyczących przemocy kończącej się śmiercią (zabójstwa, samobójstwa). U genezy tego zjawiska leżą działania republikańskiej administracji, gdzie na skutek zwiększenia obciążeń ekonomicznych wielu ludzi zepchniętych w sferę biedy doświadcza wstydu i upokorzenia. Uczucia te stają się katalizatorem spirali przemocy i zachowań autoagresywnych. Ta zła polityka rozpoczyna się w Białym Domu, ale jest skutecznie podtrzymywana przez tysiące ludzi zasilających administrację państwa. Demokracja amerykańska, jak określa to Gilligan, może być nazwana

„polityczną”, ale nie „społeczną”. Z tej przyczyny stawia on mocne tezy, iż działania Republikanów prowadzą do ograniczenia wolności, równości i bezpieczeństwa obywateli, zaś ogólny dobrobyt zmienia się w ogólny niedobór. Złą drogą, w opinii Autora, jest również eskalacja i zaostrzenie kar. Polityka „zero tolerancji” nie przynosi zakładanych efektów. Twarz tego programu, burmistrz Nowego Jorku Rudolph Giuliani, zdaniem Gilligana skorzystał zwyczajnie z właściwej polityki prowadzonej przez prezydenta Demokratę (był nim wtedy Bill Clinton). Spadek przestępczości obserwowano wtedy we wszystkich dużych amerykańskich miastach. Skuteczna polityka powinna bowiem polegać na tym, że wskaźniki dotyczące przemocy spadają bez zmian we wskaźnikach związanych z liczbą osadzonych i długością orzekanych wyroków. Nie należy też zgadzać się na to, aby samobójstwa i zabójstwa były spychane w sferę świata chorób psychicznych i świata zbrodni. Należy koncentrować się na społecznym podłożu tych zjawisk.

Gilligan wskazuje również na aspekt związany z wyborami prezydenckimi i kampanią wyborczą. Zwraca uwagę, że choć kandydaci prezentują się wyborcom jako wyjątkowe osobowości, w dużej mierze wolne od własnego środowiska partyjnego, to jest to w większości medialna kreacja i próba wywierania wrażenia na obywatelach. Z reguły bowiem urzędujący prezydent w dużej mierze ukształtowany przez swoje środowisko partyjne, realizuje politykę charakterystyczną dla ugrupowania, z którego pochodzi i dzięki któremu sprawuje ten urząd. Wyjątki od tej reguły są rzadkie.

W podsumowaniu Gilligan powtarza, że to zjawiska społeczne i ekonomiczne są czynnikami etiologicznymi w stosunku do patogenicznych zachowań związanych z zagrożeniem życia. W przypadku

Republikanów ich rządy traktować należy jako czynniki ryzyka, natomiast rządy ich oponentów, Demokratów, jako czynniki ochronne. Republikanom udało się również w dużej mierze zawłaszczyć polityczną, zwłaszcza zaś, kampanijną retorykę. To czyni dyskutowany problem jeszcze trudniejszym. Autor stawia więc postulat dalece dyskusyjny. Otóż pyta, jak można zastąpić Partię Republikańską? Zastanawia się jak wyglądała by Ameryka, gdyby partia ta poszła drogą Partii Whigów (rozpadła się w 1954r. a wielu jej członków zasililo szeregi Partii Republikanskiej)? Odpowiedzi udzielane przez autora należy raczej umieszczać w sferze *political fiction* lub sferze życzeń. Postuluje on bowiem, aby dzisiejszy politycy rozliczaniu byli konsekwentnie z efektów swej pracy, a także dokumentowali swe dokonania i realizowane strategie polityczne dowodami, statystykami, wskaźnikami świadczącymi o właściwym kierunku zmian. Tylko na tej drodze USA, w opinii Autora, może stać realną zachodnią demokracją.

Recenzja ta ma zdecydowanie charakter sprawozdawczy, nie zaś polemiczny. Bez wątplenia jednak Autor w ciekawy sposób zestawia ze sobą dane mówiące o skali przemocy w amerykańskim społeczeństwie z tym kto w danym czasie urzędował w Białym Domu. W wielu miejscach tezy Autora można odebrać jako formę politycznego manifestu, wydaje się jednak, że w tego typu działania można włączyć dziś w szeroką formułę scenariusza roli społecznej współczesnego akademika, zwłaszcza tego, który zajmuje się naukami społecznymi. Należy też podkreślić, że stawiane przez Autora tezy dotyczące związku między kwestiami politycznymi i ekonomicznymi a zachowaniami opierającymi się na przemocy mogą mieć charakter uniwersalny, a nie odnoszący się jedynie do specyfiki amerykańskiego społeczeństwa. 👁